

244

Premiera „Braci Karamazow” w warszawskim Teatrze Narodowym rozczerowała mnie. A przecież reżyser spektaklu Jerzy Krasowski nie po raz pierwszy zmagał się z gestą, zawiłą i pokretną materią psychologiczną powieści Dostojewskiego. Jego sceniczna adaptacja „Braci Karamazow” zrealizowana w Teatrze Polskim w Warszawie w 1963 r. była jednym z najciekawszych przedstawień tego teatru. Świetne role Fiodora Karamazowa (Władysław Hańcza), braci Karamazow: Dymitra (Stanisław Jasiukiewicz) i Iwana (Stanisław Zaczek), a zwłaszcza Smierdiakowa (Bronisław Pawlik) wydobły i ukazały wyjątkowo mocno mroczne zakamarki psychiki człowieka. Atmosferę podkreślała scenografia Krystyny Zachwatowicz — postacie wyłaniały się i znikaly w ciemnym horyzoncie sceny.

W obecnej adaptacji scenografia Krzysztofa Pankiewicza stanowi także sugestywne uzupełnienie zamysłów reżysera. W górę piękne ikony: szlachetne w rysunku twarzy postacie rosyjskich świętych. W dolnej części przechodzą one w szaroburą kompozycję drewnianych płotów: to „zabite dechami” miasteczko — ponure tło namiętności i zbrodni. Scenografia podkreśla rozpięcie dramatu między metafizyką a przyziemnym, zatekłym realizmem. Dlatego przedstawienie rozpoczyna scena w klasztornej celi Starca Zosimy. Ale z metafizyki niewiele tu zostało. W pokątniej tuszy Zosimie (Czesław Jaroszyński) ani rusz nie mogłam się dopatrzeć wyschniętego, „gorejącego” wewnętrznym żarem wiary „świętego starca”. Także rozważania Iwana o duszy, nieśmiertelności i moralności były jedynie smętnymi popłuczynami. A przecież aktor mówił tekstem Dostojewskiego. Właśnie! Mówił, ale czy to wystarczy? „Realizm” dzięki błazeństwu używającego sobie na wszystkich ile wlezie Fiodora (Krzysztof Chamiec) i bezsilnej wściekłości Dymitra (Marek Wysocki) był o wiele bardziej przemawiający. Omawiana scena jest jakby prologiem, jest w niej zapowiedź wszystkich mających się rozegrać wydarzeń. „Prolog” ów zaczyna się w głębi sceny i stopniowo przesuwają się na długie proscenium. Natomiast epilog (w postaci myśli wypowiedzianych przez braci określających ich postawy życiowe) jest znowu cofnięty w głąb sceny. Tak więc akcja dramatu rozgrywa się przeważnie na długim proscenium. Ta zbyt rozległa przestrzeń zamiast zagęszczać atmosferę rozmywała ją i kawałkowała akcję na poszczególne scenki obyczajowe, niekiedy podlane metafizycznym sosem.

Ze spektaklu żadną miarą nie wynikało, by braci łączyły jakieś więzy duchowe. Te wątki zostały starannie wycięte. Być może dlatego, aby w tak oczyszczonym „obszarze” psycholo-



Scena z „Braci Karamazow”. Na zdjęciu: Marek Wysocki i Krzysztof Chamiec

Czy Dostojewski?

gicznym wyraźniej skonstruować konflikt ojca i jego najstarszego syna Dymitra. Takie ustawienie dramatu przeniosło punkt ciężkości z synów na ojca. Nie przykrawana przez reżysera, w sumie najmniej skomplikowana psychologicznie (u Dostojewskiego) rola Fiodora Karamazowa dała w efekcie jedyną postać, która rzeczywiście „zaistniała” na scenie. Krzysztof Chamiec raz jeszcze udowodnił, że jego aktorstwo cechuje się dużą wyrazistością i ostrością konturów. Ten znakomity aktor nie przepuszcza żadnemu słowu, żadnej sekundzie scenicznego „życia”, by stworzyć krwistą, dynamiczną postać. Jego Fiodor to błazen i rozpustnik ze złośliwą uciechą depczący wszelkie świętości. Jeżeli nic nie mówi to chociaż łypie chytrze okiem, przekrzywi twarz, albo „czai się” do następnego ataku.

Natomiast wątek, co ja mówię, cały nurt — przecież to Aloszę uczynił Dostojewski bohaterem swojej powieści — tak więc ten przebogaty nurt szlachetności, pokory, emanującego dobra i miłości, jakim był Aleksy Karamazow skurczył się w obecnie prezentowanej adaptacji do kilku skwarków naiwności, synowskiego posłuszeństwa i cięłego zapałowania młodego mniszka w podstarzałą wietrzną. Reżyser podczepił jedynie postać Aloszy do pozostałych braci i ojca chcąc pewnie pozostać wiernym powieści. Braci było trzech! Dużo lepiej obszedł się Krasowski z postacią Iwana umieszczając go w przegródce pt. oschły, cyniczny ateista. Ale to już wina Jerzego Pożarowskiego, że domyślaliśmy się tego jedynie z mówionego przez niego tekstu. A już zupełnym psychologicznym nieprawdopodobieństwem było niezdrowe zacie-

kawienie Iwana-Pożarowskiego przebiegiem zbrodni. Ekscytował się, bo słuchał czegoś niedozwolonego, zakazanego, tak jakby zamordowanym nie był jego własny ojciec. Toż to patologia!... Dramat Iwana rozgrywa się dopiero później. Nagle uświadomienie sobie, że to on — Iwan świadomie, czy nieświadomie popchnął służącego do zbrodni, prowadzi do „nawrócenia się”. Iwan w scenie rozmowy z Diabłem — Sumieniem (doskonały sarkastyczny i kpiarski Witold Pyrkosz) jest na granicy obłędu.

Jest to jedna z niewielu scen tej adaptacji, które oddają atmosferę powieści Dostojewskiego. Rozpacziłwa szamotanina słabego człowieka wadzącego się z własną wiarą i etyką. Ale najgorsze zadanie miał Marek Wysocki (Dymitr Karamazow). Koncepcją reżysera rzucony został w wir dzikiej, obłąkańczej namiętności do nie najmłodszej już kobiety udającej podlotka (Krystyna Mikołajewska). Perwersja jakaś, czy co? A gdzież jej do tej szatanicy, podłej i występnej, niewinnej i niedostępnej Gruszeńki. Pojawiający się szczątkowo — jedynie w rozmowie — wątek narzeczonej Dymitra, Katarzyny, pozbawia postać najstarszego z braci jakiegokolwiek rysu szlachetności i stawia go w rzędzie zwykłych, bezmyślnych awanturników.

Dopiero scena przesłuchania Dymitra jest „przestrzenią” Dostojewskiego. Szlachetne samooskarżenia „brudnej” duszy, gotowość przyjęcia kary za popełniane nieprawości. Dymitr z zapamiętaniem wtapia się w opowiadanie o swojej rozpacz, nędzy, nienawiści i gniewie. Ale ogarnia go przerażenie gdy spostrzega, że te tajone, bolesne wyznania trafiają w próżnię. Aktor gwałtownie wpadając w diametralnie przeciwne stany doskonale oddaje rozdarcie zrozpaczonej, umęczonej duszy Dymitra.

W adaptacji teatralnej nie sposób oczywiście przedstawić wszystkich wątków, które w pełni określają psychikę bohaterów Dostojewskiego. Wadzących się z Bogiem i sumieniem, dochodzących do granic wytrzymałości psychicznej w szarpaninie uczuć i namiętności. W tym przedstawieniu reżyser nie potrafił stworzyć wyraźnej, jednoczącej wszystkie postacie atmosfery. Wystarczyło, że odciął kilka wątków, a postacie tak pełne życia u Dostojewskiego stały się jednowymiarowe i nienaturalne. Co prawda przez kryminalno-obyczajową historię miejscami przebija jednak koloryt Dostojewskiego. Jest w każdym geście i słowie Fiodora (Chamiec), jest w scenie rozmowy Iwana z Diabłem i w scenie przesłuchania, a właściwie wyznania Dymitra.

Skąpo tego jak na ponad dwugodzinne przedstawienie, które dzięki kryminalnej fabule rzecz jasna nie nudziło, ale czy powinno to cieszyć?

EWA GAŁĄZKA